

# I



W małym mieszkanku, na dwunastym piętrze jednego z drapaczy chmur na Manhattanie, panowało wielkie zamieszanie. Rodzina Febbrario pakowała się, ponieważ wyjeżdżała do winnicy znajdującej się niedaleko „średniowiecznego Manhattanu”, czyli koło San Gimignano<sup>1</sup>, małego miasteczka we Włoszech.

Pan Luca Febbrario był w trakcie pakowania koszul i jeansów, które codziennie nosił. Nie był osobą wysoką, ale stwierdzenie, że jest niziutki też do niego nie

---

<sup>1</sup> San Gimignano – zabytkowe miasteczko we Włoszech, w regionie Toskania; zwane „Manhattanem średniowiecza”, gdyż słynie z czworokątnych wież zbudowanych przez zamożnych mieszkańców w XIII – XV w., które pełniły funkcje obronne, ale także podkreślały znaczenie i bogactwo właściciela. Do dziś z 72 ocalało 14 wież, które z odległości kilku kilometrów wyglądają jak współczesne drapacze chmur.

pasowało. Posiadał brązowe oczy, a włosy czarne, krótkie i zawsze idealnie ułożone. Zazwyczaj miał trzydniowy zarost. Wraz z dwójką swoich dzieci, 12-letnim Marco i o dwa lata starszą Franceską, oraz ciocią Carlottą opuszczali dotychczasowy dom, gdyż kilka tygodni wcześniej stał się właścicielem posiadłości i winnicy, które zapisał mu w testamencie wujek.

Wszystkich bardzo zdziwiło to, że akurat panu Febrario zapisano w spadku winnicę, a jego dzieci były zaskoczone, że ich ojciec zgodził się ją prowadzić. Nie chciały wyjeżdżać z nowoczesnego miasta, w którym mieszkały od urodzenia. Tutaj miały swoich przyjaciół i szkołę, do której się przyzwyczyły. Teraz musiały to wszystko zostawić i zamieszkać w San Gimignano, które według nich było totalnym pustkowiem z daleka od wszystkiego, co jest nastolatkom niezbędne do życia. Dlatego nawet podczas pakowania ostatnich rzeczy próbowały namówić tatę, aby jednak zostali w Nowym Jorku.

– Dlaczego musimy jechać?

– Francesko, milion razy ci tłumaczyłem. Przenosimy się do Włoch – podtrzymywał swoją decyzję tata.

– Siostra, przestań. Na pewno tam pojedziemy – powiedział nieco smutny chłopiec.

– Marco, czy przed chwilą nie pytałeś taty o to samo? – Francesca zapytała tonem starszej siostry i wbiła w brata przeszywające spojrzenie.

– Nie twoja sprawa – odpowiedział Marco z niezbyt ładnym uśmiechem.

– Dzieci, spokojnie. Rozumiem, że jest wam ciężko opuszczać dom i przyjaciół, ale zobaczycie, że bardzo szybko poczujecie się tam jak u siebie. To cudowne miejsce. No i nie będziecie miały problemów z porozumiewaniem się, bo nasza kochana ciocia bardzo się starała, żebyście znały język włoski. – Pan Febrario próbował uspokoić dzieci.

– Znamy, ale nie umiemy! – trochę nielogicznie krzyknął Marco.

– Może tylko bardzo podstawowe rzeczy – uprzejmiej dodała Francesca. – Raz oglądałam jakiś włoski kanał Sai... nie Zai... – nie mogła sobie przypomnieć – już wiem! Rai Uno i nic nie rozumiałam, a gdy przełączyłam głos na angielski, okazało się, że to bardzo proste dialogi.

– Raz jakiś Włoch zapytał mnie po włosku, którądy dostanie się na Times Square i naprawdę kilka minut zastanawiałem się, co on do mnie mówi – powiedział tym razem Marco.

– Kiedyś z kolei na lekcji angielskiego czytałam na głos tekst i było tam wtrącone słowo po włosku, a ja nie miałam pojęcia, jak je przeczytać.

– A ja zamawiałem pizzę przez telefon i zamiast powiedzieć „kapricioza”, powiedziałem „capriciosa”. – Rodzeństwo na zmianę prezentowało dowody swoich fatalnych zdolności językowych w celu skłonienia taty do pozostania w Stanach.

Pan Febbrario, choć był przekonany, że jego dzieci bardzo dobrze znają włoski, postanowił na wszelki wypadek to sprawdzić. Wziął jeden z porozrzucanych po całym domu kartonów i, przechodząc koło syna, lekko szturchnął go w ramię.

– Scusami!<sup>2</sup>

Marco połknął haczyk i odpowiedział po włosku:

– Figurati!<sup>3</sup> – Po chwili zorientował się, o co tacie chodzi. – Ale to się nie liczy, bo było dziecinnie łatwe.

– Język znacie. I to nie tylko podstawy. Wiem to od Carlotty. Chodzi o coś innego. W czym problem?

– W tym, że to nie Manhattan – odpowiedziało naraz rodzeństwo, a nie zdarzało się to zbyt często.

– Ale można powiedzieć, że to „średniowieczny Manhattan” – odpowiedział z uśmiechem ojciec.

<sup>2</sup> scusami (wł.) – przepraszam

<sup>3</sup> figurati (wł.) – nie ma za co

– To nie to samo – zaprzeczył Marco.

– Tam nikogo nie znamy – Francesca uporczywie próbowała namówić tatę na pozostanie w Ameryce.

– Na pewno kogoś tam poznacie.

– A jak nie? – co dziwne, dzieci znowu mówiły jednocześnie.

– Jedziemy i koniec! – stanowczo powiedział tata.

– Ale tato... – dziewczynka chciała coś powiedzieć, lecz ojciec jej przerwał.

– Mama też pochodziła z Włoch. Chciałaby, żebyście poznali miejsce, gdzie się urodziła i mieszkała.

W pokoju zapanowała cisza. Pani Rosa, czyli mama dzieci, zaginęła sześć lat temu. Wszystkim jej brakowało. A kiedy tata w ten sposób zakończył kłótnię, a właściwie próbę namówienia go na to, aby zostali w Ameryce, nikt nie mógł się sprzeciwić ani niczego powiedzieć.

Po paru minutach do pokoju weszła, jak zawsze uśmiechnięta, ciocia Carlotta. Codziennie miała na sobie inny fartuszek. Kiedy był w groszki, wiadomo było, że nie jest ani smutna, ani wesoła. Natomiast fartuszek w kratkę był znakiem ostrzegawczym „jestem zła”. Jednak najczęściej ubierała fartuszek w kwiatki albo w inne dziwactwa i oznaczało to wspaniały humor. Włosy, czarne jak smoła, spinała w niezbyt staranny kok. Wpiła w niego sztuczną różę. Jej nie za wysokie, lekko

okrągłe ciało miało zawsze dużo energii do gotowania i jednocześnie śpiewania starych włoskich przebojów. Bardzo nie lubiła, kiedy ktoś słuchał, jak śpiewa, więc robiła to tylko wtedy, gdy miała pewność, że nikt jej nie usłyszy. Była książkowym przykładem gospodyni domowej (oczywiście włoskiej).

– To wy jeszcze nie spakowani?! – tupnęła małym obcasikiem, jak miała w zwyczaju, kiedy się zdenerwowała. – Szybko! Chyba nie chcecie się spóźnić na samolot? Przecież na nas nie poczeka! – wykrzyczała z włoskim, jak zwykle, temperamentem.

Kilka godzin później wszyscy siedzieli w wygodnych, białych fotelach samolotowych. Stewardesa zaprezentowała, jak zakładać maskę z tlenem, wyjaśniła zasady ewakuacji i powiedziała o przekąskach i napojach. Pilot przywitał pasażerów w dwóch językach.

– Zrozumieliście wszystko? – zapytał dzieci pan Febbrario po tym, jak pilot przywitał się po włosku.

– Tak. Takie tam podstawy – odburknął Marco niezadowolony z tego, że siedzi w samolocie do Włoch.

Tata był teraz w stu procentach pewny, że jego dzieci znają włoski, tylko nie lubią go używać.

– Dobra, znamy bardzo dobrze włoski, ale nie lubimy się nim posługiwać – potwierdziła Francesca

i założyła słuchawki, aby na mp3 posłuchać swojej ulubionej muzyki.

Luca chciał spytać dlaczego, ale córka była już zajęta słuchaniem niekończącej się listy przebojów, a Marco, jak zawsze w podróży, popatrzył chwilę przez okno, a potem błyskawicznie zasnął.

Samolot wzbił się w powietrze. Teraz wielkie wieżowce na Manhattanie wyglądały jak małe zabawkowe klocki ułożone jeden przy drugim. Im wyżej wlatywał samolot, tym one robiły się mniejsze i mniejsze, aż w końcu zniknęły za chmurami.